



# Co? Po co? Dlaczego? Słucham.

## Terminowe doświadczenia etnologa w Murzynowie

Jacek Olędzki

- *Po co te puszki zakopujesz?*
- *Nie mówi się po co. Należy mówić dlaczego!* Za chwilę, to samo:
  - *A po co nie pójdziesz ze mną na grzyby, tylko wciąż kopiesz i to świństwo zakopujesz. Nic z tego nie wyrosnie..., NIC! Chodźmy na grzyby. Mogę ci pokazać, gdzie się w tym roku przeniosły... Bo one się przenoszą...*
  - *Po co? Zaczęłam mówić jak oni.*
  - *To nie wiesz? Pomyśl, a sam sobie odpowiesz!*
- Tak mniej więcej wyglądały moje rozmowy z Robertem, kiedy miał 3, 5, 7 lat. Teraz jest już dawno po wojsku (ma stopień mata), do pracy jeździ nowym pasatem i unika ze mną rozmów (ja korzystam z komara, *bzyka*). Chociaż, raz chyba się gniewnie odezwał. Zdaje się, że tak:
  - *No, bo może być dym...*
  - *Ależ panie Robercie...*
  - *A, to przepraszam. I sobie poszedł. I tak to już jest. Gdybym, to ja jeździł pasatem, a Robert *bzykiem*, wówczas nasze spotkanie po latach wyglądałoby inaczej.*
- A zatem, przed laty pobierałem w Murzynowie bezcenne

nauki – przede wszystkim – od gromadki małych dzieci, które stale się kręciły przy Muzeum.

Oto **pierwsza nauka**: Żadne z tych dzieci wiejskich nie korzystało z potocznego zwrotu *co*. Jak wiadomo, jest to słówko powszechnie używane wśród warszawiaków starej daty. Warszawiacy nowej daty częściej, zamiast *co*, mówią *proszę*. Zwrot *proszę*, świadczy niewątpliwie o pewnym rodzaju wytworności. Nie posiadam jej i niewątpliwie mówiłem nieraz w Murzynowie ordynarnie *co*. A należało przecież mówić *słucham*. Tak bowiem, murzynowiaci – nawet całkiem mali – zwracają się do drugiej osoby, kiedy czegoś nie dosłyszą. Przyznasz Czytelniku, że spośród tych trzech zwrotów, najtrafniejsze, jest tylko to jedno słówko, *słucham*. Żadne *coproszę*, tylko *słucham*...

**Druga nauka**. Dotyczy ona oczywiście owego *po co* oraz *dlatego*. Otóż, wydaje się, że *dlatego* w stosunku do *po co*, jest podrzędne sematycznie. Odnosi się do rozumienia zależności między jednym a drugim; dotyczy na przykład przyczyny i skutku. Natomiast *po co* kieruje uwagę nie tyle na związek – często oczywisty – między przyczyną i skutkiem,

ile na celowość; cel jakiegoś działania, aż po jego sens... Dzieci wiejskie uczestnicząc od najmłodszych lat przy pracach dorosłych, w tym wszystkim, co świat dla nich dorosłych przedstawia, mają znakomite okazje poznawania związków przyczynowo – skutkowych i – być może dlatego – nie muszą korzystać z banalnego pytania *dlaczego*. Wiadomo, że z posianego ziarna rodzi się roślina itd. Natomiast z zakopanej puszkki po jakiejś konserwie, nic się nie urodzi. *Po co nie jesz?* Jeśli ktoś nie je, a jest ku temu okazja, pytanie *dlaczego*, może wyjaśnić sprawę zaledwie częściowo, w granicach zwykłego domysłu (boli kogoś ząb, ma kaca itd.), czyli bez zadawania pytania. *Po co nie jesz?* jest pytaniem znacznie dogłębniej- szym. Odpowiedź na nie dotyczyć nawet może kwestii honoru i godności, silnej woli, hartu ducha itd. Najstarsi murzynowia- cy – nie ma już ich niestety – bywało, że wzbraniali się przed przyjęciem u kogoś poczęstunku; nawet szklanki herbaty. Kiedy starałem się zrozumieć taką odmowę, dowiadywałem się struchlały:

– *To jakbym zaciągnął pożyczkę. Nie. Pić nie będę. Dziękuję.*

Nie budzi chyba wątpliwości przekonanie, że pytania artykułowane przez słówko *dlaczego* (*why, pourquoi*) zdomi- nowały nasze dzisiejsze życie. Kiedy słucham dialogów w melodramatach amerykańskich, emitowanych przez telewizję (filmy te mają największą oglądalność i nie można ich znaczenia lekceważyć), słyszę powtarzane bez końca *why. Łaj, łaj, łaj*, ciągle tylko *łaj*. No, zdarza się *what for (a quoi bon)*, ale tylko w dziełach najambitniejszych. W filmach kryminalnych, gangsterskich itd. obydwie zwroty są nieobec- ne, bowiem nie mają uzasadnienia. Po co, podważyłoby każdą brawurową akcję, każdy skok na bank, każde morderstwo. Dlatego, chcąc zaznać relaksującej zadumy jadę do Murzyno- wa. Nasłucha się tam do woli pytań *po co*. Będą one dotyczyły sytuacji dających się zrozumieć... Natomiast tutaj w mieście, tak jak w Łomazach na posterunku, we Wołominie, Markach oraz dzisiejszym Wrocławiu, całkiem się zmieniło znaczenie nawet tych dwóch podstawowych zwrotów językowych. Po co młodociane wrocławianki zabiły koleżankę, same wyjaśniły. Chyba dostatecznie jasno, *denerwowała nas!*... Ale *dlaczego* to najstraszniejsze ze strasznych się stało, nie wiadomo. Od „Super Expressu”, poprzez „Wprost”, po „Politykę”, gdzie poddawano zdarzenie analizie, nie ma odpowiedzi na pytanie, *dlaczego?* W życiu miejskim (choć nie tylko) zrodziły się więc nowe sytuacje, dla których zrozumienia konieczne jest roztrząsanie zależności w kategoriach owego, banalnego *dlaczego*.

We Wrocławiu, mieście *Apocalipsis cum figuris, Panto- mimy, Pomarańczowej Alternatywy* itd., dojrzała sytuacja aby stawiać sobie pytanie *dlaczego*, które wcześniej nie miałooby sensu, bowiem w mieście tym żyli głównie lwowiaczy... I jak w Murzynowie, rzeczy wzniosłe, niezwykle i wspaniałe były codziennością...

Dzisiaj zaś, ani rodzice, ani nauczyciele z katechetą na czele (poświęcał głównie uwagę – jak wyznał – aborcji) nie mieli głowy aby zabójczyniom powiedzieć o Grotowskim, Toma- szewskim albo Fydrychu. Nie mieli głowy, śmiem sądzić, że nie dane im samym było pojąć, iż żyją w niezwykłym mieście, najniezwyklejszych niegdyś dokonań w Polsce.

W mojej klasie, mojej szkoły im. Romualda Traugutta, też był uczeń z pierwszej ławki, który nas denerwował (Wojciech

Jaruzelski, w elitarnej szkole na Bielanych siedział w pierw- szej ławce i już wówczas miał postanowienie zostania *kimś wielkim*, oczywiście, został...). Jak należy uczniowi z pierw- szej ławki – podlizywał się nauczycielom. Myśmy nic złego mu nie próbowali zrobić. Wiadomo przecież, lizus w każdej klasie musi być. Henio Kluba poświęcił mu nawet osobny utwór, wzorowany na tragediach Sofoklesa – *Gorgolides Wspaniały*. Władysław L. Terlecki, który siedział w ostatniej ławce, dusił w sobie postanowienia i zamiary... Pomysł Henia, aby przykre rzeczy obdarzać uśmiechem, a w najgorszym razie cierpkim żartem, ustąpił – niestety – przed powinnością ważenia słów, pryncypialnością i obowiązkiem.

Czas nieubłaganie biegnie, zmieniają się „konteksty situa- cyjne” a z nimi znaczenie i rola nawet podstawowych zwrotów językowych. Zaraza nie ominęła również Murzyno- wa. Łagodniutki Robercik, kiedy dorósł, powiada twardo *może być dym*. Nie oznacza to jakiejś zwykłej zadumy, ale po prostu w lokalnej grypszerze, mordobicie. Inni znów, starsi i mniej obcy też ulegli zarazie. Starają się unikać – ich zdaniem – kompromitującego *po co* i korzystają z pytania *na ch... to?* Ponadto, pytanie to w sposobie stawiania go (butnie i stanowczo) bliższe jest stwierdzeniu czy przekleństwu, aniżeli poszukiwaniu odpowiedzi.

**Trzecia nauka.** Dotyczy ona pytania *co to?* Od razu powiem, nie często się słyszy to pytanie. Przed laty, nie słyszałem aby dzieci murzynowskie komukolwiek takie pytanie stawiały z tą samą spontaniczną natarczywością, jak to się zdarza u dzieci z niektórych środowisk miejskich. Być może, moi mali nauczyciele z Murzynowa orientowali się w tym, co można by nazwać bezowocnością werbalizowa- nych zainteresowań. Starsi po prostu nie znaleźliby często czasu na udzielanie objaśnień. *Nie ma czasu, mnie się spieszy...* itd., to bardzo częste wyznaczenie, przez niektórych wypowiedziane już całkiem mechanicznie, nawet wówczas (albo właśnie wtedy), kiedy nic nie ponagla i ów tak starannie strzeżony czas jest w nadmiarze. Ponadto, zwyczaj czulego obcowania wnucząt z dziadkami i babciami w pewnych rodzinach pojawił się stosunkowo niedawno. A zasada su- rowego rozdzielania („separacji informacyjnej”) dzieci od rozmów prowadzonych przez dorosłych, utrzymywała się w wielu rodzinach stosunkowo długo i stanowiła rodzaj zaporę w nawiązywaniu kontaktów słownych dzieci ze starszymi. Zapora ta była niewątpliwie jedną z form kształ- towania szacunku należnego starszym. Owa zasada „separacji informacyjnej” dzieci od rozmów i spraw dorosłych przestała obowiązywać zapewne już w czasie wydarzeń, jakie w życiu wsi następowały dosyć burzliwie po ostatniej wojnie. Wszela- ko wyczuwałem utrzymujący się wciąż – jeszcze w latach osiemdziesiątych – dystans między dziećmi a dorosłymi, jakiego nie znałem ze swego dzieciństwa w Warszawie.

Być może więc, wybrały dzieci obserwację i nasłuchiwa- nie, za (całkiem zresztą niezłą), formę zdobywania wiadomo- ści. Wiąże się z tym – jak wiadomo – cnota bezcenna: samodzielność. Dotyczy ona chyba również myślenia... W każ- dym razie, moich kontaktów z dziecięcą społecznością Murzynowa nie przesłaniało owo „urocze trajkotanie”: *a co to?, co to?, co to?* Dzięki temu, ów czas miniony, bardzo miłe wspominam.

Wspomnienia z lat następnych, aż po dziś czas, opromienia innego rodzaju odczucie. Kolejny wykład, który za chwilę

nastąpi, prowadzili wykładowcy dorośli; z całą odpowiedzialnością rzecz można, zepsuci. Oto płynąca z ich ust:

**Czwarta nauka.** Określa ją dosyć dobrze, jedno pytanie oraz jedno stwierdzenie. *Co ja z tego będę miał? Mnie to nie przeszkadza.* Wydaje się, że między wymienionym stwierdzeniem i pytaniem zachodzi bliska więź, zarówno semantyczna, jak również emocjonalna; a nawet – w jakiejś mierze – mentalna. Chodzi o mentalność, której starsi, dziś już nie żyjący, nie mieli. Nie słyszałem od nich tych powiedzeń. Prawdopodobnie, pojawiły się one za rządów Mieczysława Rakowskiego, który – jak pamiętamy – rozpoczął wielkie dzieło prywatyzacji gospodarki narodowej, w szczególności, bardzo bliskiej sercu premiera, Stoczni Gdańskiej. *Co ja z tego będę miał?* precyzuje nową postawę, czyli rozwijającą się „dynamicznie i pozytywnie” troskę o to, aby niczego nie czynić na marne. By zdolności i dobra dane nam od samego Pana Boga pomnażać, a nie chować w pończosze itd. Przesłanie ewangeliczne urealnia się na naszych oczach. *Mnie to nie przeszkadza*, stanowi – jak się zdaje – również przejaw troskliwej uwagi, aby *broń Boże* nie zagościła w nas płochą chęć czynienia czegoś, co mogłoby naszym wzniosłym zamiarom przeszkadzać, a już *nie daj Boże* szkodzić. *Broń Boże* oraz *nie daj Boże*, są ostrzeżeniami z należytą im mocą użyte przeze mnie. W interesującej nas zbiorowości są znane od dawien dawna. Jednakże, w mowie potocznej zdecydowanie zmalało ich znaczenie. Zwroty religijne zastąpiono świeckimi wulgaryzmami. Można powiedzieć: *K...! Co ja z tego będę miał?* Lecz, *nie daj Boże*, bym nic z tego miał, chociaż poprawne i należyte, brzmi ugodowo bez zalecanej powszechnie stanowczości. I dlatego w mowie murzynowiaków nie występuje. Ale

to już osobny temat, związany z samą religijnością Dobrzyniaków (*Baniarzy*, przewisko pochodzące od *bani* – dygni).

Powiem jedynie, że ciż Dobrzyniaczy, mający w granicach swej Ziemi Skępe, sławne w kraju sanktuarium maryjne, o którym się mówi *Druga Częstochowa*, *Częstochowa Północy*, sami do tego miejsca nie pielgrzymują. Każdego roku, 15 sierpnia przybywa do Skępego tysiące (w 1995 r. ok. 150 tys.) pielgrzymów z odległych nawet stron Polski, ale samych Dobrzyniaków jest wśród przybyszów znikomy procent! Ponadto, moi najstarsi rozmówcy nie pamiętają aby za ich pamięci, pamięci ich rodziców, czy dziadków, zdarzył się jakiś cud w miejscowościach należących do Ziemi Dobrzyńskiej. Natomiast już w pobliżu granic tej Ziemi na Mazowszu, głośno onegdaj było od zdarzeń mirakularnych (cud w Zdzierzynie Wielkim przeżywało zapewne nie mniej niż milion wiernych). Wiadomo zaś, że cuda są niezwykle czułym wskaźnikiem religijności żarliwej i wysoce spontanicznej; wszelako, domagającej się poświadczeń ze strony osób boskich i świętych ich stałej, widocznej obecności. U moich licznych rozmówców, nie tylko z samego Murzynowa, takich potrzeb poświadczania swej obecności ze strony istot czczonych nie stwierdzałem. Więcej powiem, jak nigdzie, spotykałem się przy moich pytaniach o cuda z powątpiewaniem czy aby jestem przy zdrowych zmysłach... Czy też może zawładnęła mną jakaś niemoc o charakterze przesadnej, nadgorliwej pobożności...

Ziemia Dobrzyńska nie jest, tak jak Kurpiowszczyzna lub Góralszczyzna, terytorium stosunkowo jednorodnych, czy bardzo podobnych wartości. Znaczenie Ziemi Dobrzyńskiej





w kulturze naszego narodu zasadza się między innymi na znacznym zróżnicowaniu rodzajów dawnej własności w obrębie ograniczonego i niezbyt rozległego obszaru. Sąsiadowały ze sobą dobra książęce, z czasem ziemiańskie, prywatne (sukcesje nadań książęcych głównie rycerzom), biskupie oraz królewskie. Zróżnicowanie to sprzyjało przenikaniu wartości, rywalizacji kulturowej, poczuciu przynależności do określonej grupy ludności chłopskiej oraz innym pozytywnym zjawiskom, często nie występującym już w najbliższym kujawskim lub mazowieckim sąsiedztwie. Wśród ludności chłopskiej wyróżniała się grupa gospodarzy, rolników, wyrobników, rzemieślników, całkiem osobna, rybaków, wodniaków, handlarzy i na koniec fernali. Podziały te, nieraz o charakterze niezwykle istotnym w kategoriach faktów kulturowych i świadomości społecznej dodatkowo się wzmacniały na planie różnic w systemie podziału ziemi: własności. Sąsiadujące ze sobą dwie wsie – chociaż mające wiele wspólnego – bywało, że różniły się znacznie, tworząc nieraz, prawie odrębne światy. Taka różnica wyrazista utrzymywała się przez lata między prastarą, poksiążęcą i poziemiańską wsią Murzynowo, a bogatszą znacznie od niej, wsią Uniejewo, o wiele później założoną na byłych dobrach królewskich. Obie wioski graniczą ze sobą poprzez strugę; dzielącą *Manowce*, murzynowskie od *Uniejewskiego Lasu*.

O *Kluchach*, *Kitunach*, czyli o uniejewiakach, starzy murzynowiaci powiadali – nie bez satysfakcji i szyderczo

– *bogaci ale straszni zabobniarze*. I na okoliczność tak wygłoszonej opinii podawali przykłady – rzecz można – klasycznych zachowań magicznych (przenoszenie za pomocą listka z drzewa wrogiej osoby, nieprzyjazne wobec niej życzenia; wnoszenie pod kapotą na pasterkę słomianych powróseł do poświęcenia, aby się darzyło przez cały rok itd.). Wykpiwanie przez murzynowiaków tych praktyk, stanowi ważkie świadectwo krytycyzmu i jednocześnie wysokich wymagań stawianych sobie w kwestiach wiary, religijności, jak też pobożności na co dzień.

Żeńska reprezentacja mych nieletnich wykładawców, nauczyła mnie pewnej wyliczanki, czyli *mentowania*, które włączam do zakresu kolejnej nauki.

#### Piąta nauka:

*Na ulicy Kopernika,  
spowiadała się Monika.  
Proszę księdza,  
ja nie kłamie.  
Ja ukradłam,  
cukier mamie.  
A jak trochę, się poduczę,  
to ukradnę księdzu klucze.*

Znane są wyliczanki o nieprzyzwoitych nawet treściach. Jednakże popularna w latach siedemdziesiątych–siemdziesiątych wyliczanka z Murzynowa (niewątpliwie adaptowana z obyczajowości dziecięcej dużego i nowoczesnego miasta,



jakim jest Płock) wyróżnia się ostentacyjną drwiną z osoby kapłana, a nawet z samej spowiedzi świętej! To już zupełnie rzecz niesłychana. I tu nasuwa się niezbędna uwaga. Jeśli dorosłym uniejewiakom zdarza się wypowiadać surowe, wielce „nieodpowiedzialne” słowa o sługach bożych (księżach), to dorośli murzynowiacy są chwalebny przykładem wielkiej powściągliwości w próbach podważania autorytetu swych duszpasterzy. Tylko, właśnie nieodpowiedzialnym jednostkom społeczności murzynowskiej zdarza się napomknąć coś o swych księżach, grzesznikach. Powtarzam, zdarza się tu tylko pewnym osobom. Odnoszę wrażenie, że stać tę społeczność na postawę dojrzałą: NIE PRZYJMOWANIA DO WIADOMOŚCI SĄDÓW ZŁOŚLIWYCH I SZKALUJĄCYCH ŚWIĘTE WARTOŚCI. To przystoi dzieciom w zabawie, to może się zdarzać w niekontrolowanych wypowiedziach *Kitunów*, lecz nie gości w rozważanych sądach murzynowiaków! Wydaje się, że ma to swoje historyczne uzasadnienie. Wiąże się ze wspomnianym już różnym rodowodem tych dwóch, sąsiadujących ze sobą wsi.

Znane porzekadło: *Co wolno wojewodzie, to nie tobie mały smrodzie*, nie ma więc żadnego odniesienia do społeczności murzynowskiej, którą obowiązywała zawsze norma stateczności, jako cnoty podstawowej, bodaj najważniejszej. Tym samym, aby wymienione porzekadło miało jakiś sens, winno w nim nastąpić odwrócenie znaczenia owych, dwóch sądów: *Co wolno tobie, mały smrodzie, nie wypada wojewodzie!*

Murzynowiacy (niegdyś zawołani wodniacy), mieszkający na skraju Ziemi Dobrzyńskiej, mający liczne okazje poznawania niestatecznych oryli oraz niestatecznych Mazowszan (Płockich i Gostynińskich), pewnie dlatego w swych orzeczeniach etycznych podnieśli stateczność do tak wielkiego znaczenia. Przyzwalanie dzieciom na odstępstwa od tej normy sprzyjało niewątpliwie ich rozwojowi umysłowemu; kształtowaniu się indywidualności. Za taką konkluzją przema-

wiają losy mych dziecięcych wykładowców:

Agnieszka I ukończyła studia medyczne w Warszawie z bardzo dobrą oceną.

Agnieszka II jest cenioną pracowniczką Banku PKO w Płocku.

Agnieszka III po ukończeniu znanej Szkoły Rolniczej w Trzepowie, z powodu braku pracy w zawodzie wyuczonym, jest barmanką w Grecji.

Krzysztof, bardzo dobry uczeń, niezwykle zdyscyplinowany chłopiec; niestety, zginął tragicznie w wypadku drogowym. Jego siostra:

Dorota kończy studia psychologiczne na UW.

Renata, pierwsza wyszła za mąż, jest mamą dwojga dzieci.

Beata, wyszła za mąż, pomaga rodzicom w gospodarstwie.

Arkadiusz, jest mechanikiem samochodowym i rolnikiem.

Brat:

Mikołaj, wszechstronny mechanik samochodowy i motocyklowy (dzięki niemu dychawiczny *bzyk* jest sprawnym pojazdem) kończy Szkołę Chemiczną w Płocku.

Robert, znany nam już dobrze z pierwszej strony szkicu. Nie wspominam Bartka, Sławka, Krzysztofa II, Grażyny, Huberta oraz Magdy i Artura – osób luźniej związanych z działalnością Muzeum.

Każda z wymienionych postaci jest inna. Jest sobą w najlepszym tego słowa znaczeniu. Inność wpisana jest w ich życiorysy. Owa inność występuje między siostrami i między braćmi. Kiedy się nad nią zastanawiam w kontekście odrębności Dobrzyńiaków i murzynowiaków, przychodzi na myśl słowa pamiętne Marii Dąbrowskiej:

*Nie odnajdziemy się już nigdy, nie spotkamy się już nigdy, my, którzyśmy wyszli z jednego miejsca świętego świętych. My, którzyśmy się już nie mogli zrozumieć, bośmy sobie najmniejszej inności przebaczyć nie mogli, tak bardzo chcieliśmy być jednym<sup>2</sup> (podkreślenie moje JO).*

## PRZYPISY

<sup>1</sup> Podaję za „Super Expressem”, gdzie ukazała się najwcześniej relacja o zdarzeniu we Wrocławiu. W świetle tej relacji i następnych, dziewczęta zabijając swoją koleżankę nie działały w afekcie, ale „rozważnie” ze szczegółowym planem wykonania swego zamiaru. Ponieważ coraz częściej pochodne od *denerwować*, określają stany emocjonalne nacechowane nienawiścią, a nie tylko blache sytuacje

z zakresu współzycia społecznego, rodzi się uzasadnione pytanie o zakres nieodporności w naszym kraju, zarówno u jakiejś reprezentacji młodego pokolenia, jak też starszego, na to, co wyraża każda *odrębność* czy *inność*.

<sup>2</sup> Por. Maria Dąbrowska, *Uśmiech dzieciństwa*, Czytelnik, Warszawa 1979, s. 165–166